

Nie za wiele obiecywaliśmy sobie, jadąc do Kielc na złot harcerstwa polonijnego. W sumie to mieliśmy obawy, czy oby napewno będziemy się bawić tak dobrze, jak obiecywał nam to dh Władek, rozdając zgłoszenia. Do tego dzień wyjazdu wypadł na Złot w Wendryni, imprezę, na którą czekało wielu z nas już od czerwca, na myśl czego jeszcze bardziej rzędyły nam miny. Jednak jako zgrana paczka i reprezentanci HPC nie mogliśmy zrobić przysłowiowej "wiochy", więc spotkaliśmy się na dworcu w Polskim Cieszyńcu. Już po kilku chwilach mieliśmy ochotę wrócić do domu, kiedy zobaczyliśmy, jakim wehikułem przyszło nam toczyć się do jednego z najbardziej znanych miast na Śląsku. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, już we wspomnianym wehikule (nazwa paradoksalnie jak najbardziej odwrotna poró wnując prędkość) poznaliśmy niekto re drużyny jadące na złot, co zaowocowało przyjaźnią i stworzyło szanse na wspólny biwak zimowy, ale to na razie tajemnica :) Namioty kazano nam rozbić w dość nietypowym miejscu – w środku lasu między drzewami na tzw. "boró wczokach". Co prawda inaczej wyobrażaliśmy sobie obiecany poligon wojskowy, ale jako harcerze przyjęliśmy z honorem i bez narzekań życie w symbiozie z kleszczami :) ...i bardzo sympatycznymi sąsiadami z <przepraszam, koledzy, nazwy miasta nie pamiętam...coś na B?>. Pora obiadowa zazwyczaj poprawiała nam humor, zwłaszcza kiedy w dość brutalny sposób b rozrywaliśmy plastikowe pudełka, w które rych firma cateringowa woziła nam jedzenie, ale to tylko dodatkowe wrażenia.

Prawie codziennie jedno z gniazd (Śląskie, Stołeczne, Warmińsko-Mazurskie, itd...), na które było podzielonych wszystkich 7.900 uczestników, organizowało odpowiednik naszych "dni otwartych drzwi", czyli drużyny przygotowywały swoje



gry regionalne dla uczestników, nierzadko regionalne jedzenie, oczywiście historię drużyny, zdjęcia, kroniki, poprostu było bardzo wesoło i można było dowiedzieć się jak wyglądają zbiórki na Mazurach, jak spędza się obóz w Bieszczadach itd. Oprócz tego organizatorzy dosłownie zasypywali nas propozycjami spędzenia wolnego czasu, od koncertów, przez łażenie po skałach i biegi patrolowe aż po warsztaty plastyczne, muzyczne, dramatyczne, taneczne... Nic dziwnego, bowiem bardzo bardzo długo przygotowywali się do tego wydarzenia. Nie da się ukryć, że było z czego korzystać, choć dobrowolność uczestnictwa w zajęciach absolutnie przybijała nas do obozowiska, bo przez kilka pierwszych dni deszcz nie dawał za wygraną, aż wydawało się, że będzie trzeba arki. Na szczęście wyszło słoneczko, można było pochować gitary i powiesić ubrania i wyjść do ludzi (lub ograniczyć się do wyjścia do sąsiadów!)).

Po czternaście dniach wspó łżycia z Amerykanami, Hiszpanami, Japończykami i oczywiście braćmi Polakami odnaleźliśmy w centrum nasz wehikuł i odwieźliśmy naszym kochanym mamusiom plecaki pełne brudnych, mokrych i nie zawsze swoich ubrań... (tak bywa po dwóch tygodniach w pięcioosobowym namiocie). W mojej głowie utkwi napewno atmosfera w sali, w której wyświetlano wirtualne prezentacje drużyn i widok mojej mamy kiedy zobaczyła mnie po dwóch tygodniach w lesie :) i oczywiście krokiety, choć nie zdadzę dlaczego, w tajemniczeni wiedzą :) Organizatorom oczywiście **SERDECZNIE DZIĘKUJEMY ZA ZAPROSZENIE!!!**

Efka

